

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Ci co dla nas piszą.

VI. Zofia Bukowiecka.

Bywają jednostki, obdarzone talentem pisarskim, tą iskrą Bożą, której przeznaczeniem jest podsycanie w duszach płomienia prawdy, dobra i piękna, — co nie wstępują odrazu na drogę autorską. Warunki wychowania, specjalne obowiązki życiowe hamują tę wewnętrzną potrzebę wypowiedziania się, która w nich tkwi, przez czas dłuższy zwracają ich działalność w inne strony.

Nie tracijednak na tem ogół, bo gdy wezmą nareszcie pióro do ręki, posiadają duszę, jak ul w połowie lata — napełnionym miodem, — bogatą w spostrzeżenia życiowe, w zasady, ugruntowane przez doświadczenie, w stałe i niepodlegające wahaniom przekonania.

Do rzędu tej właśnie kategorii pisarzy należy Zofia Bu-

kowiecka, złączona z naszym piśmem dawnymi, blizkimi i stałymi węzłami, przyjaciółka osobliwa „dzieci Wieczorów“ i całej młodzieży.

Dawno już pragnąłem czytelników naszego pisma, a zarazem i szerszy ogół zapoznać z biegiem żywota tej wyjątkowej postaci niewieściej, którą dotychczas tylko z jej prac znali. Dziś uważam to za najwłaściwsze, bo właśnie

przy tym numerze „Wieczorów“ wychodzą jej odczyty o obowiązkach młodych dziewcząt, rzecz głęboko pomyślana i gorąco odczuta, którą swym testamentem dla nich nazywa, a w której objawiły się najwyraźniej jej poglądy na obowiązki młodocianych rodaczek, a jednocześnie cechy jej duszy: miłość, zapał, ufność i nadzieja.

Ufność i nadzieja! Na te dwa uczucia zwracam szczególniejszą waszą uwagę. Trzeba wam bowiem wiedzieć, iż u ludzi istnieją w zakresie działalności dla rozwoju ludzkości trzy zasadnicze, że tak powiem, światopoglądy. Są pesymiści, to jest tacy, którzy mniemają i dowodzą, że na świecie wszystko jest złem i smutnem, lecz że nie leży w mocy ludzkiej zmienić cokolwiek bądź na lepsze. Pessimizm taki bywa źródłem współczucia i współcierpienia, ale zostaje jałowym i bezpożytecznym.

Jeszcze bardziej jałowymi, nadto wprost wstrętnymi są optymiści z egoizmu, którzy twierdzą, że ponieważ im dobrze w życiu, więc i wszystkim

kim wszędzie jest jaknajlepiej, a zatem żadnych zmian, ulepszeń, trudów i poświęceń niepotrzeba.

Są wreszcie tacy, którzy widząc i odczuwając zło i cierpienie w świecie, nie wpadają bynajmniej w beznadziejność i bezczynność, lecz przeciwnie ufają, iż zło można poprawić, a cierpienia zmniejszyć, że więc w tym kierunku należy wszystkim pojedynczo i wspólnie wyteżać siły.



Zofia Bukowiecka.

Ten szlachetny, twórczy optymizm jest w dziejach ludzkości źródłem postępu i doskonalenia się, a wyznawczynią i hołdowniczką takiego właśnie optymizmu — pomimo cierpień i zawodów — była zawsze nasza autorka zarówno w życiu osobistym, jak w swych pismach i radach.

* * *

Zofia Bukowiecka, z domu Konarska, przyszła na świat w 1844 r. w Malicach, w pięknej i żyznej ziemi Sandomierskiej, zdawna przez ród jej ojca zamieszkałej.

W 11 roku straciła matkę; zastąpiła ją w opiece nad sierotą starsza siostra i staruszka bona, która 44 lata przeżyła w ich rodzinie i kochała dzieci „po nieboszcze pani“, jak swoje własne.

W dzieciństwie i pierwszej młodości uczyła się stosunkowo mało i przeważnie po francuzku podług ówczesnego zwyczaju, pomimo iż czuła zawsze pociąg do nauki i do nauczania, a nawet między r. 1857 a 1861 prowadziła we dworze swoim szkołę dla dzieci wiejskich, które w pierwszym roku trzeba było aż podarunkami zachęcać do abecadła.

W skutek stosunków rodzinnych i ogólnych — pierwsza młodość naszej autorki przechodziła w niezmiernie ciszy.

— „Młodość moja, — mówiła mi niedawno — nie nastreczyła żadnych wrażeń poza rodzinnymi i kościelnymi. Mogę powiedzieć z Hofmanową, że uroczystości, celebrowane przez naszego kochanego proboszcza, którego plebania dotykała dworskiego ogrodu, zastępowały mi koncerty i liczniejsze zgromadzenia. Nie byłam nigdy w życiu na balu, chociaż tańczyć bardzo lubiłam, a pierwszą kolorową suknię dostałam do wyprawy w 1865 r.“

Atmosfera, w której przebywała w domu ojcowskim przez pierwsze lat 20 swego życia, — rozwinęła w niej obok uczuć religijnych miłość do kraju, przywiązanie do ludu wiejskiego, będące w tradycjach zarówno ojca, jak matki, i silne poczucie węzłów rodzinnych. Śmierć matki w wieku, w którym już mogła zrozumieć cały ciężar tej straty, — a serdeczna opieka, którą ją otoczyli bliżsi i dalsi członkowie rodziny, uświadomiły w niej wczesnie znaczenie i wpływ dobroczynny tych węzłów, oraz wzajemne obowiązki krewnych między sobą.

Rozwinęła się w niej przytem chęć do kształcenia siebie i drugich, zamiłowanie do nauczania i pewna znajomość dusz dziecięcych. Pociąg do pióra objawił się także w tym okresie; dzieckiem będąc, pisywała rozmaite nadzwyczajne historye, ale że nikt na to nie zwracał

cał uwagi — zdolność ta przycichła na czas dłuższy.

W r. 1865 młodziutka Zofia Konarska zaślubiła Ludwika Bukowieckiego. Wpływowi i przykładowi męża zawdzięcza pogłębienie umysłu, — rozszerzenie pojęć co do obowiązków społecznych i obywatelskich, wreszcie nabycie istotnej, rozumnej dobroci, która ją cechuje. Ludwik Bukowiecki pochodził z Księstwa Poznańskiego, kształcił się w Berlinie na wydziale filozoficznym, następnie skończył wydział lekarski we Wrocławiu ze stopniem doktora medycyny. W mieście tym był przez wszystkie semestry prezesem korporacji studenckiej „Towarzystwa Literackiego Słowiańskiego“, a po ukończeniu uniwersytetu — honorowym jego członkiem.

W roku 1865 osiadł na stałe w Opatowie, a czem był dla nędzy tego miasta, mogliby zaświadczyć starsi jego mieszkańcy. Ze zrujnowanych podczas bitwy opatowskiej murów wznosił własnem staraniem nowy szpital, w którym wykonywał bez żadnej pomocy niezmiernie trudne operacje.

W czasie cholery żywił biedaków, którzy nie mając gdzie się schronić w spalonym niedawno miasteczku, wynosili się w wąwozy podmiejskie i tam koczowali, unikając zarażonych, brudnych zaułków. Z okolicy na jego wezwanie przysłano mąkę i kaszę — a on przy współudziale młodej małżonki, rozdawał ją potrzebującym.

Nie długo trwało wspólne pożycie tej dobranej i godnej siebie pary. W r. 1869 dr. Bukowiecki umarł z tyfusu plamistego, zaziwszy się od ubogiego robotnika, osieracając młodą żonę i maleńkiego synka, Stanisława.

Rozpoczęła się dla naszej autorki nowa żałoba. Z początku mieszkała na wsi, ucząc dzieci w rodzinie i na wsi, potem przeniosła się do Radomia, gdzie kierowała wychowaniem syna i kilku jego ciotecznych braci, uczęszczających do miejscowego gimnazjum. Gdy przeszedł czas na uniwersytet, zamieszkała w Warszawie i tu 3 kwietnia 1886 r. przyniosła do redakcji „Wieczorów Rodzinnych“ pierwszą swą pracę dla młodzieży.

Kilka lat była stałą współpracowniczką pisma poczem przeniosła się wraz z synem do Dąbrowy Górniczej.

Tam mając dużo wolnego czasu, a uderzona nieznanami sobie dotąd warunkami pracy górników, — napisała w 1893 r. pierwszą większą powieść o Janku Górniku, na mocy obserwacji dzieci robotników miejscowych, bo znów, jak prawie wszędzie i zawsze z zamiłowaniem uczyła biednych chłopców.

Zachęcona i ośmielona powodzeniem tej pierwszej większej pracy — napisała z kolei: „Rok życia“, „Dzieci Warszawy“ i „Jak się dusza budziła w Józiu“.

W 1897 r. przeniosła się do Warszawy i znowu wstąpiła do składu naszej redakcji. Mało jest numerów „Wieczorów Rodzinnych“, w którychby nie było jakiego artykułu lub artykułiku Zofii Bukowieckiej, bądź w rubryce „Z dziejów cywilizacji“, bądź w listach, odpowiedziach i pogadankach o sprawach społecznych dla starszych, bądź w opowiadaniach z historii polskiej i drobnych powiastkach dla dzieci.

W „Wieczorach“ też wychodziły najprzód przed wydaniem książkowym, dwie ostatnie jej powieści „Żołnierz Dewetta“ i „Stefek Luty w Brazylii“.

Przetłomaczyła nadto i opracowała szereg powieści z niemieckiego, wydanych przez księgarnię Gebethnera i Wolffa. Bierze też udział w piśmie „Świat kobiecy“.

We wszystkich powieściach i artykułach obok wysokich zalet artystycznych, zajmującej treści i doskonałej znajomości duszy podrastającej młodzieży i dzieci, z którymi tyle obcowwała, przebija zawsze ten szlachetny, twórczy optymizm, o którym wspominałem, ta ufność, wiara i nadzieja, że ludzkość przez usiłowania pojedyncze i zbiorowe może i powinna doskonalic się i dążyć do poprawy warunków bytu, pomimo wszelkie trudności i zawody.

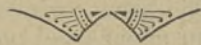
Nie upadać na duchu, lecz kroczyć śmiało i wytrwale naprzód ku słońcu podniosłych ideałów — oto jej hasło, któremu zawsze i w życiu i w pismach swych jest wierna. To też ulubionymi jej bohaterami są właśnie samodzielni i energiczni chłopcy.

Jeżeli syn jej, uczony prawnik i ekonomista, a zarazem wybitny działacz społeczny — który przed kilku laty w samym rozkwicie życia utracił wzrok, nie uległ pod tym strasznym ciosem, lecz dalej kroczy wybranym przez siebie szlakiem, zawdzięcza to w znacznej mierze wszczepionemu przez matkę hartowi woli, jej rozumnej i serdecznej pomocy. Jeżeli w licznych szeregach młodzieży ugruntowały się zasady wytrwałej pracy i poczucie obowiązków społecznych i obywatelskich, stało się to także w pewnej części dzięki radom osobistym lub wpływowi pism tej dzielnej i zasłużonej autorki.

Zofia Bukowiecka stanęła obecnie na progu okresu, który Rzymianie nazywali wiekiem senatorskim. Myśl jej jest również żywa, serce również gorące, jak w lecie żywota, a doświadczenie i mądrość życiowa coraz większa. Kończąc więc ten krótki szkic życzeniem wszyst-

kich jej czytelników, wszystkich znajomych jej i nieznajomych uczni i przyjaciół: niech Bóg udzieli jaknajdłużej naszej autorce zdrowia i sił do prowadzenia dalej owocnej pracy na wszelkich polach jej działalności.

Ig. Baliński.



Pożegnanie jesieni.

Słoneczko tak wczesnie pomyka za las,
Gdzie liście zrumienił nam wrzesień,
Śle ziemi przestrozę: Ej! spocząć ci czas!
Czuwajciel wnet skończy się jesień.

Jak sen ślicznego lata minęły nam dni.
Na niwach czernieją hen rżyska,
Babiego nić lata w powietrzu się lśni,
I szmaragd ozimin połyska.

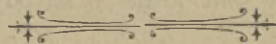
O! czemuż dni twoich tak bystro rwie tok,
Jesieni! z uroków czarami?
Gdy twego powrotu znów czekać nam rok,
Tak chyżo rozstajesz się z nami?

O słodka jesieni! w twe ślady tuż, tuż,
Surowa posuwa się zima,
W biel martwą zamieni twe złoto i róż,
I słońce pod dachem zatrzyma.

Po lesie już dźwięczny rozlega się róg,
Bo z wiatrem, co hula w dąbrowach,
Myśliwy, ochoczo rzuciwszy swój próg,
W zawody z nim buja na łowach.

Więc kiedy z rodzinnych ulatasz nam stron,
W purpurze i wieńcu promieni,
Przyjm dzięki o hojna! za darów twych plon,
Na zapas zimowy z owoców i gron,
I w chwale twej żegnaj jesieni!

E. Lejowa.



Z. Morawska.



Przygody Imć Pana Mikołaja.

Powieść z XVI-w.

(Ciąg dalszy).

XXVI.

*Co imć pan Rej i inni ojcowie dali synom
na pamiątkę Unii Lubelskiej?*

Jak Lublin Lublinem, nigdy jeszcze tyle
ludzi w murach swych nie zgromadził.

Kościół Ś-go Michała, co jeszcze Leszka Czarnego pamiętał i od XIII wieku wspaniałością się szczylił, dziś stanął jakby w wielkiej aureoli światła, z powagą na lud przybyły poglądając.

A święty Michał Archanioł miecz ognisty trzymał i zdawał się mówić:

„Nie walkii krwi rozlewu, lecz do zgody, miłości i pokoju miecz swój podnoszę i mieczem tym ku jedności nakłaniam!”

A ludu coraz więcej się cisnęło.

Były tam delie, żnpany, kontusze z felpy, aksamitu, cienkiego sukna, suto altembasem i złocistemi pasami przybrane, lecz były i skromne z samodziału, nie barwione kubraki, albo i z płótna bielonego, albo i cale szarego z rodzimego lnu utkane, a plecy pochylone wiekiem lub proste, jako te młode sosny ku niebu wyniosłe, przyodziewające.

Były i niewiasty różnego stanu i wieku, barwnie, strojno albo w samodział, jako ich ojcowie, bracia i mężowie, przyodziane.

Nie brakło i młodzieży różnej płci i wieku, ani też dzieci od takich, co szły o swojej sile, albo trzymając się spódnicy matczynej, czy ojcowskiego kubraka, aż do tych, które na rękach matek i piastunek, jako małe ptaszęta drzemały.

Wszyscy, poglądając na słońce, idące z powagą sierpniowego dnia, oczekiwali.

Oczekiwali na ukazanie się króla Zygmunta Augusta, dla którego na wzniesieniu ustrojony był tron, a poniżej w półkole siedniska dla panów radnych i posłów zagranicznych, na on dzień do Lublina przybyłych. A przybyło ich wielu, boć oto miał się stać fakt niebywały i nieznany dotąd w przeszłości.

Dwa narody złączone z sobą przeszło od dwu wieków w imię pokonania wrogich sobie Niemców, ponawiały ślub wieczystego pod jednym berłem połączenia. A znać oba tego pragnęły.

A jakże tego ukazania się pragnąć nie miano!

Toć panujący podówczas Zygmunt August po wieloletniej pracy i naradach z panami tak polskimi, jak i litewskimi, nadawał jednakowe prawa dla Litwy i Polski, i na mocy tychże praw łączył oba kraje i narody w jednolitą całość.

Aż oto i oczekiwanie się skończyło, ozwali się heroldowie, oznajmując głosem surmy przybycie monarchy.

Dźwięk ten przejął rozkosznym dreszczem oczekujących, ze wszystkich piersi ozwał się zgodny, radosny okrzyk:

— Król!

Wzrok wszystkich skierował się w stronę skąd król przybywał, i wszystkie serca zakolały niewysłowioną radością, i wszystkie usta jednogłośnie się wołały:

— Witaj nam, witaj!

A potem nagle w tym wielotysięcznym tłumie zrobiła się cisza, że słyhać było brzęczenie muszek, przelatujących w powietrzu i przyspieszone bicie serc narodu.

Zygmunt August wstał i powiódł okiem po różnobarwnym tłumie,

Wzrok jego zwykle znużony zabłysł młodzieńczym ogniem, rozjaśniła się twarz przedwczesnymi zoraną zmarszczkami i przyłożywszy rękę do serca, donośnym mówił się głosem:

— Jako król Polski, Wielki Książę Litewski, Inflancki, Pan wszech ziem do Korony Polskiej należących, jako monarcha wiernego nam narodu pragniemy, aby wyż wymienione ziemie rozwijały się w szczęściu, dobrobycie i wzajemnej miłości, a ku temu nadajemy wszystkim tym ziemiom jednakowe prawa, żądamy i pragniemy w onych ziemiach zjednoczony, jeden miły nam sercu a uszczęśliwiony onemi prawami naród widzieć. Tak nam Panie Boże dopomóż!!

— Tak nam Panie Boże dopomóż!³⁾

Po przemówieniu króla, gdy pierwsze uniesienie nieco się uciszyło, stanął na wzniesieniu kanclerz Piotr Tomicki, przeczytał nadane dla wszystkich ziem prawa, potem zaś wezwał wszystkich obecnych do podpisania aktu unii.

Najpierw podpisał król, potem panowie radni litewscy i polscy, a potem, kto żył przystępował do wielkiego stołu, podpisując się jako kto umiał.

Więc jedni drżąc z wzruszenia ręką, inni, nie obeziani z inkaustem, miasto podpisywać, czapki wyrzucali w górę, wołając:

— Zapisalem w sercu mojem!

Inni znów wydobywali miecze z pochew i trzymając je oburącz nad głową, wołali:

— Mieczem tym bronić będziemy praw zjednoczonej dziś Litwy i Korony.

— A to po wiek, wieków!

— Po wiek, wieków!—wołali inni, rzucając się sobie wzajem w objęcia.

A wśród całego upojenia odbywała się innego jeszcze rodzaju uroczyste unii zapisywanie.

Mikołaj Rej z Nagłowic przewodził.

Przywiódł on czternastoletniego swego syna, Jędrzeja, kazał pacholkom rozciągnąć kobierzec, młodzian zaś, nie sromając się nawet, położył się jak długi, a ojciec wsypał mu trzy odlewane, wołając:

— Żebyś nie zabaczył, jak unia Litwy z Koroną odbyła się dnia 11 augusta roku 1569.

A inni ojcowie przyprowadzali synów, czyniąc to samo, a od plag pamiętnych żaden z młodzieńców też, by najmniejsze dzieciątko się nie uchroniło.

Rej uszczęśliwiony z dopełnionego aktu, ścisnął na prawo i lewo braci szlachtę, sypał dykteryjkami, wołając do syna:

— Pamiętaj, Jędreku, żebyś się z Litwinką ożenił!

A Jędreku, mrugając jako i ojciec okiem, myślał sobie:

— Już ja dokonam tego połączenia Litwy z Koroną!

Każdy zaś, kto mógł, cisnął się do króla, by mu za to dobrodzieństwo dziękować, a gdy Rej dostał się przed oblicze monarchy, runął do stóp jego jak długi, wołając:

— Teraz już spokojnie umrzeć mogę, bo oczy moje widziały a uszy słyszały akt, który

³⁾ Z akt lubelskich.

Październik.

Słoneczko promieniami złotemi
 Błysnęło ziemi,
 I uśmiechem swój smutek ośłania
 W chwili rozstania.
 Coraz dalej słoneczko i dalej...
 Dziecię się żali:
 Czas wakacyi, już dawno, niestety,
 Dosięgnął mety,
 Trzeba wracać do książki, bo szkoła
 Na dziatwę woła.
 Oj, na książkę leniuszek wśród drżenia
 Rzuca spojrzenia,
 Bo to praca pono i męka;
 Tak się ich lęka!
 Pilne dzieci ochoczo powraca;
 W niem trud i praca,
 Która wszystkich udziałem jest ludzi,
 Trwogi nie budzi.
 Dziecię miłej wolności poświęci
 Chwilę pamięci
 I odważnie podniesie znów czoło,
 Naprzód! Wesoło!

Janina Chlewicka.

**Z konkursu rysunkowego
 „Wieczorów Rodzinnych”.**



PIECZARKI.

Rysunek z natury 11-letniego Kmicica.

W SZKOLNYM POKOJU.

I.

Elementarz.

— Więc możemy nareszcie porozmawiać swobodnie — wykrzyknęła z radością kredka, gdy Tadzio, ukończywszy lekcję, wybiegł z pokoju. — Cieszy mnie to bardzo, bo przyznam się szczerze, że lubię mówić. Lubiałabym także pisać, gdybym mogła wyrażać wszystkie myśli, które mnie nieraz bawią lub trapią. Ale cóż? nie mam niestety wielkiej różnorodności — Tadzio już drugi miesiąc się uczy, a nie umie jeszcze połowy abecadła. Dziwnie tępy i leniwy chłopiec.

— Trzeba być pobłażliwym, to przecież dziecko, które nie rozumie jeszcze jakie znaczenie posiada nauka — perswadując odezwał się elementarz. — Choć dzieci często bywają niezbyt skore do książki, ja je lubię. Przekonałem się już niejednokrotnie, że mają bardzo dobre serce.

— Ciekawam, kiedy szanowny elementarz mógł nabrać takiego doświadczenia, skoro przybył tu niedawniej od nas i to wprost ze sklepu, jak o tem świadczy nowiuteńka okładka — odezwała się dowcipna gąbka, rada, że swoją uwagę wprowadzi w kłopot mądrą książkę. Ale jej się to nie udało.

— Moja pani nie od dziś żyję — odparł poważnie elementarz — i chociaż przybyłem tu rzeczywiście wprost z księgarni, ale nim się tam jeszcze dostałem, rozmaite przechodziłem koleje losu.

— No proszę! to księgarnie nie są właściwą ojczyzną elementarzy! Ja myślałam, że one wyrastają tam za szybą, jak ogórki w inspektach — wtrąciła kredka.

— Jak można myśleć coś podobnego — zgromiła ją tabliczka — elementarze przecież nie rosną; są one zupełnie martwym przedmiotem, może, równie jak ja i ty kredko, należą do minerałów, bo przecież elementarz i tabliczka pewnie są ze sobą w jakimś pokrewieństwie.

— Upewniam panią, że w bardzo dalekiem, a nawet w żadnym — odrzucił z naciśkiem elementarz, którego oburzyła tabliczka,

sama z siebie nic nie umiejąca i wypowiadająca tylko to, co na niej byle czyja ręka skreśliła, że tak śmiało przyznawała się do pokrewieństwa z nim. — Już kredka daleko mniej się myliła, porównując mnie do ogórków, — bo istotnie byłem kiedyś rośliną, i rośłem, tylko nie pod szkłem, za wystawą księgarni, ale w czystym polu, pod złotymi promieniami słońca i przejrzystym błękitem nieba.

— Elementarze rosną? dziw nad dziwy! — szepnęła ze zdumieniem gąbka, a elementarz prawil dalej:

— Rośłem, ale nie byłem jeszcze wtenczas elementarzem, ani nawet arkuszem papieru, tylko łodygą lnu wiotką i smukłą, którą ciepły wiatr letni kołysał i uginał na wszystkie strony. Rośło nas na owym łanie tysiące siostrzyc, bliźnio podobnych do siebie; to też gdy w połowie lata, główki nasze przystroiły się w błękitne kwiecie, wyglądało to z daleka, jakby kawał nieba spadł na ziemię.

— Bardzo ładnie mówisz, lubię słuchać o błękitie nieba, bo i w mojej ojczyźnie było słoneczno i błękitnie — odezwała się gąbka.

— Niestety, kwiaty niedługie mają życie; to też i nasze opadły prędko, a na ich miejsce dojrzało nasienie — ciągnął dalej elementarz. Nadeszła jesień; pewnego ranka wpadły na nasz łąn kobiety wiejskie, śmiejąc się i śpiewając, i z korzeniem wyrwały nas z ziemi. Im było widać wesoło — nam wcale nie, bo się nam zdawało, że to już ostatni okres naszego życia. Tymczasem miałyśmy długo jeszcze wędrować po świecie, choć już w zmienionej postaci. — Przedewszystkiem powiązano nas w snopki i ustawiono dokoła płotów, ażebyśmy dobrze wyschły. To się nam jeszcze jako tako podobało, bo byłyśmy przynajmniej na świeżem powietrzu — ale potem wiele nas czekało przykrości! Ledwieśmy wyschły, wytłuczono czyli wymłócono nas porządnie na płaskim kamieniu deseczką, przez co ztracono nam główki z nasieniem...

— O! to pan elementarz jest bez głowy! — szyderczo roześmiała się tabliczka, nie mogąca elementarzowi darować, że się nie przyznał do pokrewieństwa z nią, tabliczką szyfrową, służącą do nauki pisanja po wszystkich szkołach.

— Jestem bez głowy, ale mimo to potię jeszcze niejednego nauczyć rozumu! — a głowę moją ludzie zabrali mi, właśnie, żeby z zawartego w niej nasienia wytłoczyć sobie olej, bo jak świat światem, wiadomo wszystkim, że nikt nie ma tyle oleju w głowie, co lny i konopie — bardzo surowo odciął się elementarz.

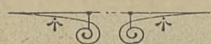
— No, dobrze już, dobrze — kredka tylko żartuje — łagodząco wtrąciła gąbka — proszę opowiadać, jak tam dalej było.

— Dalej było coraz gorzej. Wpakowano nas do rowu z wodą, przysypano ziemią, przytkano drewnianemi tykami, i w tem błotnistem więzieniu spędziłyśmy parę tygodni. Pamiętam, iż byłyśmy bardzo oburzone tem, że się ludzie tak niegodnie z nami obchodzą; najpierw kogoś suszyć, potem moczyć — do czego to podobne? czyste drwiny ze zdrowego rozsądku! A jednak na coś musiało to być ludziom potrzebne, bo kobieta, która nas nareszcie wydobyla z rowu, cieszyła się, że nasze łodygi tak doskonale namokły. Potem przeleżałyśmy jeszcze dni kilka na wilgotnej łące, aż znowu rozłożone na dachu chaty suszyłyśmy się na słońcu.

— Ładna historia! nie wytrzymałabym takiej męki i takich ciągłych zmian — ze współczuciem szepnęła kredka.

— I nam też wierzchnie części łodygi pogniły zupełnie i odpadały — ale zdaje się, iż ludziom właśnie o to chodziło, żeby nas do takiego stanu doprowadzić. Zdjęto nas z dachu i za pomocą rozmaitych przyrządów oczyszczano zupełnie nasze włókna, tak, że zrobiło się z nich przedziwio delikatne, cienkie, doskonałe do zwijania z niego na kołowrotku lub na kądzieli cieniutkich nici, z których można tkać płótno. Od chwili kiedy zostałem przedzą, życie nabrało dla mnie znowu uroku. Nie nudziłem się już wcale, bo w chacie, do której się dostałem, gwarno było i wesoło. Cały dzień gospodyni krzątała się po izbie, dzieci powróciwszy ze szkoły dokazywały, a wieczorami schodziło się dużo kobiet, i wszystkie, zasiadłszy wokół komina, przedły, śpiewając przytem bardzo ładne pieśni, lub opowiadając sobie takie straszne bajki, że dzieciom aż się włosy jeżyły na głowie! ale które, na szczęście, zawsze dobrze się kończyły.

— Opowiedz którą z nich — szepnęła gąbka.
(d. n.) I. Mrozowicka.



NAPAD NA ZAMEK

Obrazek dramatyczny w 3-ch odsłonach.

SCENA II.

Sędziwój, Janek.

Janek. Jak się, macie staruszkę? (zdejmuje kapelusz).

Sędziwój. Jak się masz, moje dziecko, cóż tu robisz w tem leśnem ustroniu?

Janek. Słyszałem, że tu nad strumykiem rosną srebnolistne wierzby, a wykręcane z ich

po wieczne czasy obu narodom uszczęśliwienie przyniesie!

— Tak nam, Panie Boże, dopomóż! — zawołał król.

A dzwony rozkołysane dzwięczały radośnym głosem, powtarzając słowa wielkiego aktu.

Podawały te dźwięki dzwonom w wielkich kościołach miast innych i ubogim małym kapliczkom. I głos ich dochodził do zamków i dworów pańskich, dworów braci szlachty i do najlichszych lepierek. A słońce dnia onego, rzucając ostatnie promienie, zdawało się mówić:

— Choćby ludzie zapomnieli, ja zawsze przypominać im będę, co winni braciom swoim i ziemi tej, która jest ich najukochańszą ojczyzną!
(d. n.)



Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego.

14. Andrzej Frycz Modrzewski.

(Dokończenie.)

Według Modrzewskiego trzy rzeczy do istnienia rzeczypospolitej konieczne są potrzebne: uczciwe obyczaje, sprawiedliwe sądy i biegłość w wojennych sprawach.

Do zacności obyczajów dobre wychowanie młodzieży najłatwiej prowadzi, albowiem „to jest pewna rzecz, iż jako człowiek wszystkie zwierzęta przechodzi przyrodzonym rozumem, i są w nim jakoby niejaki iskry roztropności i cnoty ku zacnym sprawom: tak też zasię, jeśli onego przyrodzonego rozumu nie wyćwiczymy umiejętnością albo wiadomością rzeczy osobnych, jeśli onych iskier cnoty i mądrości zwyczajem a ćwiczeniem nie będzie wzniecał a rozdymał, bywa to, iż do rzeczy uczciwości przeciwnych oślep idzie i nie bywa nadeń nic szaleńszego nic niepomniejszego nic złośliwszego“.

Tymczasem wielkich panów synowie „niemał wszyscy w pieszczocie a rozpustności bywają chowani; bawią je tańcami, lutniami, ustawicznie pochlebce miewają około siebie, z młodu się uczą nadętości i zuchwalstwa, pierwej poznawają jedwabne szaty, niżli poczną mówić, dziwią się złotym łańcuchom i mnóstwu czeladzi, rozmyślają sobie jeszcze z młodości sposób do panowania, a zbytnią pieszczotą wszelką moc rozsądku albo baczenia dobrego tracą, a nie nauczywszy się nigdy posłusznym być, chcą panować albo rozkazywać. Oni też śmiesznie są nikczemni, którzy pochlebając działkom wielkich panów kładą im przed oczy bogactwa, możność, zacność domu w którym się urodzili, a pierwej w ich serce cedzą pychę i nadętość

niżli jaką wiadomość dobroci i skromności. O jako deleko lepiej jest, aby tego działki nie wiedziały, a uczyły się tych rzeczy, któreby pomagały do cnoty i do prawdziwej pracy.

„Niechaj wiedzą, iż do odprawowania spraw, wielka różność jest między naukami, a między dowcipnymi, między nikczemnymi, a między mężnymi. Niech w sobie rozmyślają, że prawa cześć a uczciwość nie leży w zacności rodu, nie w bogactwach, nie w mnóstwie albo okazałości sług, co zarówno tak dobrzy jak i źli miewają, ale w tych cnotach, które właśnie dobrym przynależą jako: w roztropności, szczodrości, i lekkim wazieniu, albo wżgardzeniu przypadków ludzkich“.

Przywileje jakimi cieszyła się w kraju naszym szlachta ze szkodą mieszczan i kmieci, niepokoją stale Modrzewskiego. Nie łudzi się on jednak, by zmiany w tym kierunku łatwemi były. Zauważyliście zapewne, jak jest umiarkowanym w przemowie do Zygmunta Starego. Wprawdzie pragnąłby szczerze aby przy rozdawaniu senatorskich godności, nauka i uzdolnienie umysłowe o wyborze stanowiły. Rozumiejąc jednak, że taki układ rzeczy, równający wszystkie stany, zbytnioby szlachtę oburzył, pozostawia jej przywilej piastowania najwyższych urzędów i woła jeno o równość wobec prawa, o jednaką karę za jednakie winy. Do sprawy tej, która mu najboleśniej na sercu leżała, powraca w dziele: „O naprawie“ i posłuchajcie, jak o niej mówi:

„Praw ten ma być warunek, aby wszystko ku uczciwości a pospolitemu pożytkowi stanowiono tak, aby jednakie zapłaty cnotom a zasię też jednakie karania złościom ustanowione były. A żadne wolności nie mają być tak wielce wazone, aby kto broniąc się niemi miał karania uchodzić, albo niejednakowość karania odnosić. Bo prawdziwa wartość zależy na powściągnięciu złych myśli i występków, a nie na swawolności brojenia, co się komu podoba, ani na lekciejszem karaniu występnych. Jeśli, że dla jednakiego występku różność karania ma być zachowana, tedy ma być obracana nie na rozpuszczeniu wodzy złościom, ale na hamowaniu. A przetoż mocarze szlachta i osoby na urzędziech będące, mają być ciężej karani, niż ubóstwo, chłopstwo i ludzie od urzędów wolni“.

A poniżej dodaje:

„A o tem ma być staranie, aby podłego stanu ludzie od krzywd co najwięcej byli bezpieczni. Wiele szlachty i bogatych osób leca do czynienia krzywd ludziom podłym i ubogim. Ci, jeśli by je karą pieniężną karano, nie się nie polepszają, przeto niechby oba na długi czas więzieniem, albo jaką zelżywością karani byli. Niech żaden nie ma za to, aby każdy

człowiek, by najuboższy, miał być taki, by krzywdę nie zemszczoną i nie skaraną miał skromnie znosić, co, acz na czas tać się musi, wszakże się trzeba obawiać, aby się ona waśń zestarzała kiedykolwiek ku szkodzie Rzeczypospolitej nie wywarła, zwłaszcza iż wszystkim ten ubogich ludzi naród dla wzdargi swej a niekarności baczy to, że jest na krzywdy narażony“.

A jeszcze dalej tak mówi.

„Zaprawdę Rzeczpospolita samą tylko szlachtą kwitnąć nie może, bo któż będzie dodawał żywności i nam i bydłu? któż nam dodawać będzie odzienia i ubioru, jeśli nie będzie rzemieślnika? któż rzeczy potrzebne będzie przywoził, jeśli nie będzie kupca. Na ostatek, któż będzie szlachcicem, jeśli żadnego chłopca nie będzie, Cóż więc tedy za okrutność jest, iż bez których posługi się obejść nie możemy, tych gardło tak lekceważymy“!

Czytając te słowa proste i jasne, jak sama prawda — wierzyć nam dziś trudno, że przebrzmiały one bez echa. Wszakże tak mało po-

trzeba było, by je pojąć i odczuć! Trochę wniknięcia w obowiązki wobec kraju, trochę wejrzenia we własne sumienie, trochę lęku o przyszłość...

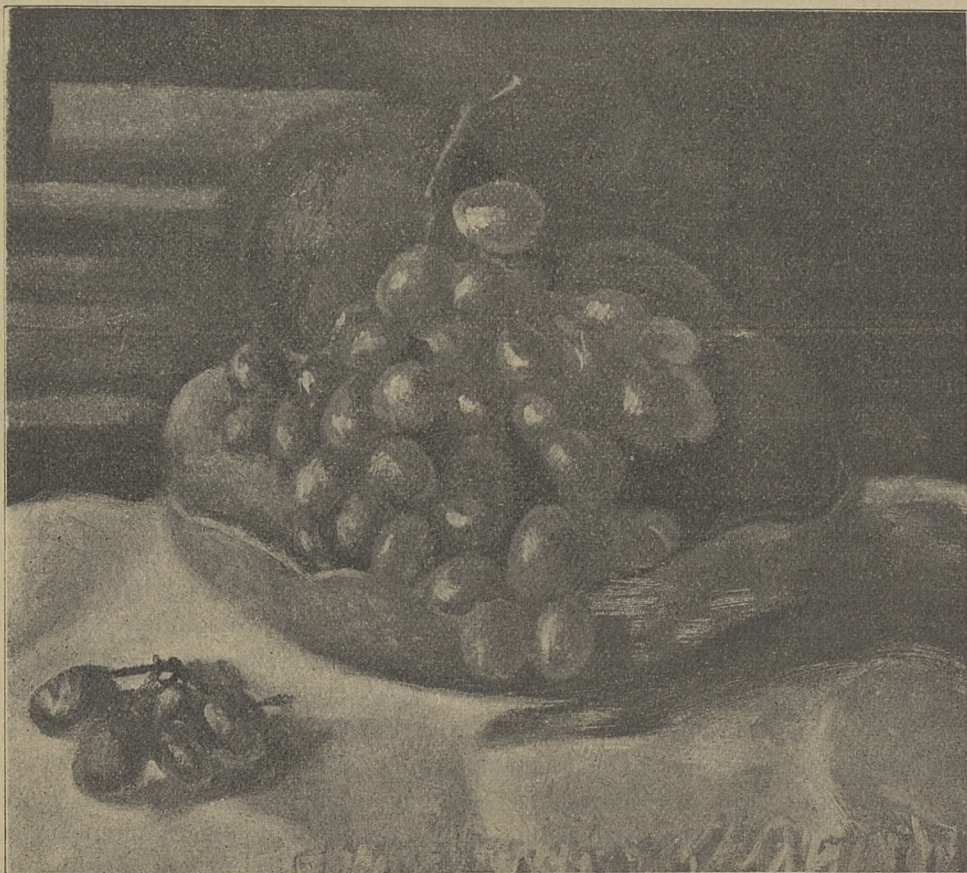
Nie stało tego, niestety. Poprawa Rzeczypospolitej nie zesłała z ksiąg w życie, słowo w czyn się nie zmieniło.

O ostatnich latach Modrzewskiego nie prawie nie da się powiedzieć. On sam nie mówi wiele o sobie, a i współcześni życiorysu jego nam nie przechowali. Wiemy tylko, że sędziwych lat dożywszy, zmarł około 1570 roku.

Należał on do najgłębszych i najświatlejszych umysłów 16-go stulecia. W szeregu zasług jego, jednej tylko brakuje: oto dbając tak serdecznie o losy ojczystego kraju — nad mową ojczystą nie pracował zgoła. Wszystko co nam pozostawił — napisaniem zostało po łacinie. Dzieło jego „O naprawie“ uprzystępniał ogółowi Cyprian Bazylik, przekładając je wzorowo na język polski w 1577 roku.

M. Dynowska.

Z konkursu rysunkowego „Wieczorów Rodzinnych“.



Owoce, obrazek olejny.

Rysunek Zdzisława Zalewskiego.

Król Przestrzeni.



Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a.**

Przekład J. F.



(Dokończenie.)

Dzień zapowiadał się upalny. Od zachodu ciągnęły gęste, sine chmury. Były to oznaki zbliżającej się burzy. Nie uszły one uwagi Robura, który około ósmej wszedł na pokład i zastąpił Turnera. Może przypominała mu się straszliwa trąba powietrzna i groźny cyklon, z których cudem prawie został uratowany Albatros.

Co prawda *Groza* jest przyrządem o wiele doskonalszym. W razie burzy może przecież spuścić się na powierzchnię oceanu, a gdyby i tutaj groziły jej rozhukane fale, może się zanurzyć w głębiny, gdzie nic spokoju i ciszy nie zakłóci.

Zresztą, o ile mi się wydało, Robur nie przypuszczał, ażeby burza miała wybuchnąć dzisiaj. Nie zniżał więc lotu i *Groza* szybowiała w powietrzu, jak olbrzymi ptak morski, który miał tę przewagę, że metalowe członki, poruszane elektrycznością, nie znały znużenia.

Nieogarniona, niezmierzona powierzchnia wody była pusta zupełnie. Na horyzoncie nie dostrzegałem ani jednego żagla, ani jednego słupa dymu.

Po południu nic godnego uwagi nie zaśzło, *Groza* posuwała się wciąż ku południowi ze średnią szybkością. Lecąc dalej w tym kierunku zbliżaliśmy się do wysp Antylskich, Kolumbii i Wenezueli. Może jednak nocy następnej przetniemy przesmyk i znajdziemy się nad oceanem Spokojnym, dążąc ku wyspie!...

Tymczasem zniżyliśmy się na powierzchnię wody.

Słońce zachodziło krwawo. Dokoła nas iskrzyło się i paliło morze... Wszystko zapowiadało burzę.

Prawdopodobnie tego samego zdania był i Robur. Na jego rozkaz musiałem opuścić pokład i zejść do kajuty. Kłapa zamknęła się za mną natychmiast.

Równocześnie usłyszałem szmer i hałas, zapowiadający, że *Groza* zamieni się na statek podwodny. Istotnie w pięć minut później płynęliśmy już w głębiny.

Zmęczony fizycznie i moralnie zapadłem wkrótce w głęboki, długi i ciężki sen... tym razem nie potrzebne były proszki usypiające.

Gdy się zbudziłem, płynęliśmy jeszcze pod

wodą. Lecz wkrótce wydostaliśmy się na jej powierzchnię. Szaro zielony brzask przenikał przez okienko kajuty, silne kołysanie się statku dowodziło, że fale są jeszcze bardzo wzburzone.

Pośpieszyłem na pokład i zająłem swe dawne miejsce.

Na północo-zachodzie zbierała się burza. Błyskawice coraz częściej przecinały ciemnosine, prawie czarne chmury. Zdała rozlegać się huk grzmotów i piorunów, które echo powtarzało wielokrotnie.

Byłem zdumiony i przerażony szybkością, z jaką się burza zbliżała.

Nagle zerwał się wichor gwałtowny, roz-



Piorun uderza w „Grozę“.

dzierając gęstą oponę mgły. Spienione, rozhukane fale zalały *Grozę*. Gdybym się nie był tak mocno trzymał rampy, byłoby niewątpliwie uniosły mnie ze sobą. Pozostawał jeden, jedyny ratunek: przekształcić *Grozę* na statek podwodny. Czyż nie szaleństwo stawać do walki z rozhukanym żywiołem, skoro o dwadzieścia stóp głębiej znaleźć mogliśmy spokój i bezpieczeństwo.

Robur był na pokładzie. Spodziewałem się, że za chwilę rozkaże mi zejść do kajuty, lecz się

zawiodłem, ku memu ogromnemu zdumieniu nie czyniono żadnych przygotowań do przekształcenia *Grozy* na statek podwodny.

Wyniosły i niewzruszony, okiem płonącym kapitan wyzywał do walki rozszałała burzę i zdawał się być pewnym zwycięstwa. Z przerażeniem zapytywałem siebie, czy człowiek ten nie jest jakąś istotą nadprzyrodzoną. Jedno jego słowo, jedno skinienie a *Groza* mogła się jeszcze zanurzyć w głębiny... jeszcze mogliśmy być ocaleni! Lecz on stał bez ruchu.

Nagle z ust jego padły wyrazy, zlewające się ze świstem burzy i łoskotem piorunów:

— Ja.. Robur — władca świata.

Dał znak ręką... towarzysze go zrozumieli... był to rozkaz... rozkaz nieodwołalny; który nie-szczęśliwi spełnili bez wahania.

Całe niebo zdawało się być objęte płomieniem. Piorun uderzał po piorunie, *Groza* z rozpostartymi skrzydłami wzniosła się w powietrzu i pędziła jak szalona wśród ogni błyskawic, wśród łoskotu gromów.

Kilka dni temu ponad Niagarą, szczęśliwie umknęła zwirów wodospadu... Czy i dzisiaj uniknie wściekłości huraganu?...

Robur nie zmieniał postawy. Jedną ręką kierował rudlem, drugą trzymał na rączce regulatora. Skrzydła były tak potężnie, że lada chwila mogły być złamane. *Groza* pędziła w samo ognisko burzy, tam gdzie iskry elektryczne z największą gwałtownością wyładowywały się z jednej chmury na drugą.

Trzeba było koniecznie ratować *Grozę*, która leciała na zgubę w tę otchłań powietrzną. Powierzchnia rozszałego morza przedstawiała nie-mniejse niebezpieczeństwo. Za jaką bądź cenę należało się zanurzyć w głębiny.

Poczucie obowiązku zbudziło się we mnie z gwałtownością rozpaczliwą... Czyż można nie powstrzymać warjata, złoczyńcę wyjętego z pod opieki prawa i zagrażającego swym wynalazkiem bezpieczeństwu całego świata?... Ja, Strock, główny inspektor policji waszyngtońskiej powinienem przecież oddać tego człowieka w ręce sprawiedliwości!...

Zapominając, że jestem jeden przeciwko trzem, że się znajdujemy o parę tysięcy stóp po nad rozhukanym żywiołem, skoczyłem ku Roburowi, schwyciłem go za kołnierz, starając się głosem zapanować nad rykiem i świstem burzy:

— W imię prawa...

Nagle *Groza* wstrząsnęła się gwałtownie, jak gdyby uderzona potężnym ładunkiem elektryczności. Metalowy szkielet zadrgał, podobnie jak ciało człowieka pod wpływem silnego prądu. Poczem, rażony w samo jądro, rozpadł się na części

To piorun strząsał ten przyrząd cudowny, arcydzieło umysłu ludzkiego. Ze zmiażdżonymi

skrzydłami, z połamanymi turbinami *Groza* spadła z wyższych szlaków atmosfery w głębiny morza...! Prawo Najwyższego dosięgło pychę człowieka.

ROZDZIAŁ XVIII.

Ostatnia rozmowa z Grad.

Ile godzin byłem zemdlony — nie wiem. Odzyskałem przytomność w kajucie jakiegoś nieznanego statku. Leżałem na łóżku, otoczony marynarzami, których starania przywołały mnie do życia. U wezłowie stał oficer i rozpytywał o szczegóły doznanej katastrofy.

Opowiedziałem mu całą prawdę, niestety jednak wszyscy obecni przypuszczali, że mówię w malignie.

Znajdowałem się na parowcu „Ottawa“, który płynął do Nowego Orleanu. Podczas burzy załoga spostrzegła szczątek zmiażdżonego statku, którego się czepiałem kurczowo i zabrała mnie na pokład.

Byłem ocalony, lecz Robur i obaj jego towarzysze w falach zatoki zakończyli żywot awanturńczy. Król Przestrzeni, rażony piorunem odszedł na zawsze, unosząc ze sobą tajemnicę nadzwyczajnego wynalazku.

W pięć dni później zbliżyliśmy się do brzegów Luizjany, a 10-go sierpnia rano *Ottawa* zarzuciła kotwicę w porcie Nowego Orleanu.

Pożegnałem serdecznie oficerów gościnnego statku i pierwszym pociągim odjechałem do Waszyngtonu, gdzie wprost z kolei udałem się do zarządu policji.

Trudno opisać radość i zdumienie szefa, gdy ujrzał mnie na progu swego gabinetu. Przekonany był najmocniej, że zginąłem w wodach Erié.

Wtajemniczyłem go niezwłocznie we wszystkie szczegóły mojej awanturniczej podróży — opowiadałem o pogoni parowców na jeziorze, o przekształceniu „*Grozy*“ na przyrząd do latania, o wzniesieniu się ponad Niagarę, o Great-Ery o strasznej burzy i cudownem prawie ocaleniu, dzięki załodze „*Ottawy*“.

Pan Ward zaledwie mógł uwierzyć moim słowom.

— Ostatecznie jednak, wróciłeś do nas, kochany Strock zakończył rozmowę — i to jest rzecz główna. Po śmierci Robura pan się staniesz bohaterem dnia... Pan przecież zdarłeś zasłonę z tajemnic Great-Ery, pan oglądałeś przekształcania się „*Grozy*“... Niestety, tajemnica wynalazku Króla Przestrzeni zginęła z nim razem!...

Jeszcze tego samego wieczora dzienniki podały opis moich przygód niezwykłych. Pan Ward miał słuszość zupełną. Nazajutrz stałem się bohaterem dnia. Jedno z pism głosiło:

„Dzięki inspektorowi Strockowi policja amerykańska zaimponowała światu: sciga zbrodniarzy

gałęzi fujarki grają najpiękniej na świecie; zostawiłem więc owieczki na pastwisku i kazałem Szarkowi, aby je pilnował, sam zaś przyszedłem tu po fujarkę.

Sędziwój. To ty musisz ładnie grać na fujarce?

Janek. Ee, skądby tam ładnie potrafił, przecież nikt mnie nie uczył, sam tylko jak umiem tak wygrywam (podnosi do ust fujarkę i gra przez chwilę, poczem nagle urywa i rozgląda się wkoło). Ach, co tu kwiatów, a jakie śliczne: białe, wonne lilije, maki czerwone, różowe goździki, niezabudki... ach, jakież śliczne. Narwę ich, narwę całe pęki i zaniosę na grób mych rodziców. (podbiega do kwiatów).

Sędziwój (nagle wyciągając ręce z przestachem). Chłopcze, nie zrywaj tych kwiatów, nie zrywaj!...

Janek (spuszcza smutnie głowę). Nie pozwolisz, staruszk, jakiś ty niedobry. (po chwili). Ale trudno, jak nie można zrywać tych kwiatów, to chociaż pozwól mi popieścić się z niemi, bo przypominają mi moją wioskę rodzinną, dom... Matusz takie same kwiaty hodowała w swym ogródku. (przykłada do ziemi, całuje i pieści, kwiaty).

Sędziwój. Płacz nad kwiatami! Przypomniały mu one minione dni szczęścia, więc łzy toczą mu się z oczu i padają na kwiaty. O dziecko ty nie wiesz, że temi łzami zamieniasz ich w ludzi.

Janek (podechodzi do innej grupy kwiatów, tuli je do siebie i mówi). Z takich samych niezabudek miałem raz wianek na głowie, a z takich bławatków nosiłem bukiety pod krzyż, róże znów rosły w doniczkach w pokoju, a powoje pięły się na tyczki i zaglądały różowemi kwiatami do naszych okien. (mówi coraz ciszej, wreszcie osuwa się na ziemię i zasypia).

Sędziwój (podechodzi do chłopca). Zasnął, niech śpi. I ja pójdę trochę wypocząć, bo w nocy gdy księżyc zawiśnie nad drzewami przyjdę tu, aby kwiatom, nad którymi płakały oczy tego sierotki przywrócić ludzką postać (oddala się). (Między drzewami ukazuje się jasność, z góry spływa anioł i staje nad Jankiem).

SCENA III.

Anioł.

Anioł (śpiewa).

Śpij dziecińco, śpij spo- Już zasnęły ptaszki
[kojnie [w gniazdkach
Ja czuwać nad tobą. Ucichł lasów gwar,
I rozstaczam białe skrzydła Na uspioną w ciszy ziemię
Nad sierocą głową. Spływa nocy czar.

Dziecie, nie bój się niczego,

Śpij spokojnie już,

Bo nad tobą czuwać zawsze

Biały anioł stróż.

(anioł znika.)

(Nad drzewami ukazuje się księżyc w pełni. Wchodzi Sędziwój. Przystaje, wysypuje na ziemię jakieś zioła i zapala. Gęsty тумan zakrywa scenę, czarnoksiężnik wyciąga nad ogniem ręce i wymawia jakieś tajemnicze słowa. Po chwili widać na scenie zamiast kwiatów żywe osoby z poprzedniego aktu.

(d. c. n.)

J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

Słów chorego chłopca nikt nie słyszał, jak nikt nie wiedział, że w tej chwili właśnie, w jednej z cel więziennych, sprawiedliwy Bóg, na jednym z przestępców, położył już swą karzącą prawicę, w chwili bowiem, gdy go stróż wprowadzili do więzienia padł na ziemię i skończył, stróż spojrzeli po sobie z przerażeniem.

— Bóg go widać sam chce osądzić, rzekł jeden, wymierzy mu karę sam, nie ziemscy sędziowie.

Drugi złodziej wcisnął się w kąt więzienia, jak zwierzę dziki, patrzył z przerażeniem na towarzysza, którego szeroko roztwarte oczy zdawały się mówić:

— Czyń pokutę, żałuj póki czas i popraw się.

X.

Stach spał w najlepsze, bo rano odsypiał stracone godziny, gdy ciotka przybiegła strwożona i chwytając go za rękę wołała:

— Wstawaj, wstawaj Stachu, na miły Bóg, mów mi, co się stało? Drzwi w przedpokoju wyłupane, zamek zepsuty, ktoś je zastawił stolikiem?

— Ja ciociu.

— Jakto, więc byli?

— A byli, stoczyliśmy z nimi bój nie lada, schwyciła ich policja i już siedzą w więzieniu.

I zaczął jej szczegółowo opowiadać, jak się to stało, a ona kiwała głową i mówiła ze zdumieniem.

— A ja o tem wszystkiem nic nie wiedziałam. O jakiś ty sprytny, jaki dobry!...

— Moja ciociu, to nie mnie należą się te pochwały, to temu chłopcu, gdyby nie on, czyż mógłbym tak złemu zapobiedz? Nie będąc uprzedzony, nie miałbym policji do pomocy, a sam przeciwko dwom, czyż mógłbym wystarczyć, tem więcej, że ich tam pewnie kilku jeszcze było na czatach.

— Tak, Bóg miłosierdzie okazał mi wielkie, niech Mu za to będzie cześć i chwała, a chłopca wynagrodzę sowicie, za jego pocziwość, idę do niego.

Stach wstrzymał ją za rękę.

— Owszem niech ciocia idzie, zobaczyć jak się miewa, niech mu nawet ciocia opowie wszystko, ale ani słowa o nagrodzie. O tej pomówimy później, obmyślimy ją, wprzód muszę wszystko zbadać.

Staruszka kiwnęła głową, że zgadza się. pobiegła do kuchenki, lecz po chwili wróciła.

— Mój Stachu, chodźże, to dziecko chore i to bardzo. Ma silną gorączkę, patrzy na mnie, ale zdaje się nie rozumieć i nie słyszeć co do niego mówię, Boże co to za zmartwienie.

Stach skoczył, przeniósł nieprzytomnego Jędrusia na kanapę i zbadawszy go rzekł głosem przynęcionym.

— Zdaje mi się ciociu, że to będzie tyfus, długa i ciężka choroba. Za jego pocziwość należy mu się wdzięczność. Usunę go do pierwszego pokoju i będę nad nim czuwał i leczył. Trudno go teraz z domu wydalić.

— Ależ tak, byłoby to niegodziwie, i nie po chrześcijańsku, ja sama pilnować go będę, ty przecież musisz jechać.

— Nie pojedę, doniosę, że nie mogę, sprawa przecież nie skończona, wzywany będę do policyi, przytem uważam, że dozorując biedne chore dziecko, zaczynam spełniać obowiązek względem biednych, do którego przyspasia nas nauka medycyny. Nie ciociu, nie pojedę, do współki leczyć go będziemy, a jeśli i to byłoby za mało, bośmy oboje lekarze bez dyplomów, weźmiemy trzeciego, — to nasz obowiązek.

Pan Stach, jakkolwiek jeszcze nie lekarz, bo dopiero się na niego kształcił, poznał się na chorobie Jędrusia. Istotnie rozwinął się tyfus i to bardzo silny. Dostał go może z przeziębienia, głodu, a może gdzieś się zaraził, przebiegał przecież tyle nędznych dzielnic, nocował w takich wstrętnych kątach. Kto wie, czy na tej garści słomy, jaką mu podali, nie leżał kiedy jaki chory, wiadomo przecież, że zarazki tyfusu przechowują się długi czas w ubraniu, pościeli, nawet sprzętach. Po takim chorym należy wszystko wyprać, wymyć karbolem, wyczyścić ściany, podłogi, a czy to kto w ślusarni lub u Sikory robił? Ludzie są niedbali, a często nawet nie wiedzą o tem, lub jeśli ich kto ostrzeże, nie wierzą. A przecież choroba ta, często z powodu braku czystości rozwija się i często zabiera wiele ofiar. Jedna osoba przyniesie chorobę, a z zarazy umiera dziesięć i więcej.

Zadania i łamigłówki.

LOGOGRYF.

ułożyła E.

Z następujących 26 sylab: A—a—a—al—bi—czer—cya—do—ja—ka—kut—ka—lusz—mia—na—nik—nia—no—pe—po—ro—sy—stro—sól—top—wicc— ułożyć należy dziewięć wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół składałyby przysłowie.

Znaczenie wyrazów: 1) Mieszkaniec Syberyi, 2) Bohaterka z poematu „Konrad Wallenrod“, 3) Rękodzielnik, 4) Kraj w Afryce, 5) Tytuł powieści Sienkiewicza, 6) Rodzaj zupy, 7) Nauka o ciałach niebieskich, 8) Nazwa miesiaca, 9) Nazwa drzewa liściastego.

SZARADA.

ul. Mazowian n.

Drugie w każdym domu macie,
Pierwsze każdy z was codziennie,
Cała w różnobarwnej szacie
Co rok przechodzi niezmiennie.

Zadanie konikowe.

ul. Kazio J.

	Dziel	
pia	druś	cka
ny	×	lia
ju	se	ję

Rozwiązania do N-ru 41-go.

Rebusa: Dziakość i skrytość to cechy charakterów, nad którymi miłość tylko zapanować może.

Szarady: Kar—to—fle.

Przeplatanki literowej:

Kiedy klon wcześniej opada
Ostrą zimę zapowiada.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stefanowi Mikuliczowi. Zapowiadanej przesyłki z zabawkami nie otrzymaliśmy.

N. N. O towarzyszmie i życiu Andrzeja Towiańskiego najlepiej można się poinformować z książki Jana Mazurkiewicza. Cena 45 kop.

Trafne rozwiązania łamigłówek z ostatnich numerów uadesłał: Sokół Litewski, Witold Majewski, Stasia Malinowska, Jurek Kozłowski, Helcia Górską, Edzio Wróblewski, Stefania Olszewska, Łodziąka i Gałazka Błuszczu.

Nowemu. Łamigłówki własnego pomysłu starannie opracowane zawsze są pożądane.

nietylko na lądzie i morzu lecz nawet w głębinach wód i oceanów, oraz w przestworzach powietrznych...

Istotnie, zdaje mi się że uczyniłem to, co czynić będą moi koledzy w przyszłości.

Wreszcie pojechałem do swego mieszkania przy Long-Strect. Pocziwa Grad na mój widok omal nie padła zemdłona. Opisu mych przygód wysłuchiwała ze łzami w oczach, dziękując Opatrzności, że mnie wyratowała od zguby.

— Panie, rzekła w końcu, czyż nie miałam słuszności?...

— Nie rozumiem ciebie, moja zacna Grad.

— Mówiłam panu przecież, że Great-Eyry to siedlisko szatanów!

— Ależ Robur nie był szatanem!

— Ba, jeżeli nim i nie był, to w każdym razie na tę nazwę zasłużył!...

KONIEC.



We wnętrzu komina.

(Z rzeczywistego zdarzenia).

„Nie traćcie zimnej krwi
w chwili niebezpieczeństwa“.

Z okna mojego pokoiku, na górze ojcowskiego domu, miałem widok bardzo rozległy na okolicę bezludną, płaską i lesistą. Sterczał tam jedynie komin rdzawo-ciemnego koloru, po młynie parowym, który zgorzał przed kilku laty. Pozostał z niego tylko szkielet z osmałonych belek, resztki paleniska i ten komin.

W długiej gardzieli komina obrały sobie miejsca na gniazda niezliczone roje jaskółek. Na jesień całe stada usmolonych sadzami ptasząt obsiadały komin, gotując się do dalekiej podróży. We dnie uwijały się nad rzeką, łowiąc owady, a gdy się zbliżał wieczór, powracały do komina i gromadka za gromadką zapadała w jego czarne czeluście.

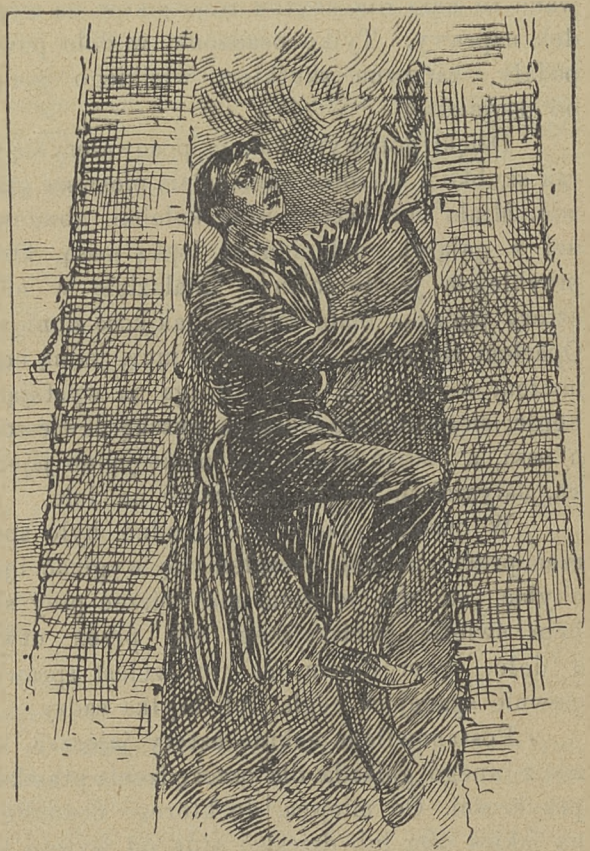
Jak większa część chłopców, mieszkających na wsi, byłem zapalonym zbieraczem jaj. i pragnąłem gorąco uzupełnić moje zbiory jajeczkami mieszkańców komina. Młyn w gruzach, oddalenie jego od ludzkich siedzib i trudność dostania się do wnętrza, nadawały tej wyprawie romantyczną i niebezpieczną cechę, pociągającą chłopca żadnego niezwykłych przygód.

Pewnej niedzieli pod koniec maja, wybrałem się na upragnioną wycieczkę. Okręciłem się w pasie cienkim ale mocnym sznurem, długim przeszło sto stóp. W kieszeniach miałem

duże, żelazne haki, a uzbrojenia dopełniał spory młotek.

Przechodząc kładkę powyżej młyna, zobaczyłem znajomego mi Jaska i dwóch chłopców z sąsiedztwa, stojących w miejscu naszej zwykłej kąpieli. Postanowiłem nie wołać ich: chciałem zachować wyłącznie dla siebie chlubę niezwykłej wyprawy. Za to samolubstwo i za chęć krzywdzenia jaskółek zostałem srodcie ukarany!

U podstawy komina, od strony podwórza znalazłem otwór, w którym mógł się zmieścić człowiek dorosły. Wewnątrz leżała kupa gruzów, a z niej rozchodził się nieprzyjemny odór: powstrzymałem oddech i zapuściłem się odważnie w czarną gardziel kominową.



Powoli wspinałem się w górę...

Wyprostowawszy się, zobaczyłem, że mogę swobodnie poruszać rękami, miejsca było dużo. Podniosłem głowę, upatrując gniazd, ale w ciemnościach nic nie widziałem, oprócz błękitnego kwadraciku nieba, wysoko nad moją głową.

Komin przypominał coś nakształt olbrzymiego teleskopu: niebo wydawało się nie błękitne, lecz blade i bezbarwne, a na niem świeciło parę gwiazd bez blasku.

Ciężką pracą było wbijanie haków w ściany: upatrywałem szpar, a oparty plecami o przeciwną ścianę, wbiąłem powoli haki i podno-

siłem się z trudem w górę po tej improwizowanej drabinie. Pierwsze uderzenie młotka spłoszyło całe roje ptaszków, siedzących na jajach; porwały się z głośnym świergotem, a trzepotanie ich skrzydeł i piskliwe głosy robiły przeraźliwy hałas w zamkniętej przestrzeni. Zdawało mi się, że komin zawali się bo sady padały jak grad na moją głowę. Spłoszone ptaszki uleciały, a ja zabrałem się na nowo do roboty. Gorące i duszne powietrze utrudniało oddech; wkrótce spotniałem cały.

Dźwigałem się z wolna i z trudnością w górę, macałem ściany i szukałem gniazd. Nagle ręce moje natrafiły na hak mocno osadzony w murze: wstąpiłem na niego rad, że mniej będę miał pracy i znów wyżej namacałem drugi. Widocznie przy budowie komina wmurowano te haki dla użytku robotników na wypadek naprawy. Tylko osadzone w dole wypadały, zapewne skutkiem wielkiego gorąca od paleniska.

Dzięki gotowym hakom posuwałem się teraz szybko i wkrótce namacałem pierwsze gniazdo. Miało ono kształt niby kolebki, zbudowanej z gałązek, oblepionych lepką masą, która przyklejała je do ściany. Znalazłem w niem cztery jajeczka biało-żółtawe jak kość słoniowa. Oparłem się mocno plecami o mur, jedną nogę miałem wspartą na haku, drugą na wystającej cegle; sięgnąłem po blaszaną puszkę zawieszoną u pasa, a kładąc w nią ostrożnie jedno jajeczko, usłyszałem lekkie trzaskanie na dole.

W ciasnej przestrzeni trudno było spojrzeć prosto na dół: zacząłem się wyginać i pochylać, ale nie mogłem nic dojrzeć przy słabym świetle, wciskającem się przez otwór u dołu. Pomyślałem, że ten szelest sprawiła pewnie spadająca cegła, lub bryłka sadzy.

Postanowiłem zebrać cztery jajeczka, każde z innego gniazda dla oszczędzenia ptaszkom przykrości. Od miejsca, do którego doszedłem, na jakieś ośm lub dziesięć stóp od wylotu komina, ściany były zupełnie pokryte gniazdami, nietrudno więc było zebrać potrzebną ilość jajeczek.

Z westchnieniem ulgi zacząłem spuszczać się na dół. Ciemność, gorąco i mdłący odór sadzy przyprawiły mnie o lekki zawrót głowy. Zeszedłem zaledwie parę stóp, kiedy uroczystą ciszę w kominie przerwał ogłuszający łoskot, niby jakiś śmiech potężny, nieludzki... Jednocześnie poczułem brak powietrza i o mało co nie spadłem. Odetchnąwszy z trudnością, spojrzałem na dół. Słabe światło znikło, jak gdyby zasłonięte czemś, co nagle zatknęło otwór.

(D. n.)

ZE ŚWIATA.

Ratyfikacja traktatu pokojowego Portsmouthskiego. Dnia 15 października nastąpiła ratyfikacja traktatu zawartego w mieście Portsmouth między pełnomocnikiem Rosyi, hr. Wittem i Japonii—baronem Komurem, o którym pisaliśmy w swoim czasie. Ratyfikacją czyli zatwierdzeniem traktatu nazywa się podpisanie przez panujących odpowiednich mocarstw tekstu traktatu, który pisze się w dwóch egzemplarzach. Każdy egzemplarz bywa podpisany przez jednego z panujących, którzy następnie zamieniają te dwa egzemplarze, tak iż każdy z nich posiada tekst z podpisem drugiego.

Rozdział Szwecyi i Norwegii. Pisaliśmy w czerwcu r. b. o uchwalonym przez sejm norweski (storting) oddzieleniu się od Szwecyi i skreśliliśmy historję unii tych dwóch państw, datującej od r. 1814. Obecnie król Oskar II i sejm szwedzki zgodzili się na ten rozdział; w ten sposób Europa zyskała jedno nowe państwo zupełnie niezależne. Czy Norwegia pozostanie monarchią konstytucyjną i zaprosi na tron jednego z książąt duńskich, czy też będzie republiką i obierze prezydenta, jeszcze nie wiadomo. Zdaje się, że na króla zaproszą ks. Karola Duńskiego.

Ś. p. ks. Sergiusz Trubeckoj, rektor uniwersytetu moskiewskiego. Przed dwoma tygodniami Rosya straciła jednego z najwybitniejszych swych uczonych i działaczy. Rektor uniwersytetu moskiewskiego ks. Sergiusz Trubeckoj zmarł nagle na posiedzeniu w sprawie reform uniwersyteckich w Petersburgu, w dniu przybycia swego do tego miasta, w 52 roku życia. Prof. Trubeckoj był znanym psychologiem, a wiosną r. b. stanął na czele delegacji, przyjętej w Peterhofie przez Najjaśniejszego Pana, i wyjaśniał potrzeby swego społeczeństwa. Po zaprowadzeniu przed miesiącem wybieralności rektorów przez profesorów uniwersytetu, został jednomyślnie wybrany na rektora; w tym charakterze przyczynił się wielce do rozpoczęcia prawidłowych wykładów.

Pogrzeb jego odbył się z wielką uroczystością przy ogromnej liczbie publiczności, a młodzież polska złożyła także wieniec na trumnie szlachetnego męża.

— Niezwykła maszyna do szycia. Amerykańska fabryka Singera wykonała przed dwoma tygodniami niezwykłą maszynę do szycia, zamówioną przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, Roosevelta, jako dar dla cesarzowej japońskiej, w podzięce za serdeczne przyjęcie jego córki, Alicyi, w czasie niedawnej podróży po Japonii.

Cesarzowa w rozmowie z panną Rooseveltówną wspomniała, że rada byłaby zaznajomić się z amerykańską maszyną do szycia, celem wprowadzenia do dworskiej pracowni krawieckiej. Córka prezydenta pośpieszyła o tem zawiadomić swego ojca, który też niezwłocznie polecił wykonać umyślną, dla cesarzowej maszynę wyglądającą jak cacko.



Wszystkie części metalowe maszyny mają złotą powłokę, wyłączając miejsca podlegające tarciu w czasie użycia.

Stół maszyny zrobiony jest z drzewa mahoniowego, skrzyneczka wybita jedwabiem i pluszem o barwach japońskich. Pudło i stół ozdobione są połączonymi herbami Stanów Zjednoczonych i Japonii. Maszynę tę doręczy cesarzowej umysłny poseł, który już wyjechał do Japonii.

Tonąca wyspa. Wyspą, którą naprawdę grozi zatonięcie jest Helgoland na morzu Niemieckim, niedawno przez Niemców od Anglii nabyta.

Niewielka ta wyspa jest ulubionem miejscem wycieczek do kilku zakładów leczniczych, jakie się na niej znajdują.

Od pewnego czasu w południowej stronie Helgolandu woda coraz bardziej wdziera się w skały, wyłabia szczeliny, powodując ciągłe obsuwanie się ziemi.

Z powodu małej wytrzymałości gruntu niewiele pomogło budowanie tam i wyspa maleje z każdym rokiem.

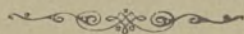
Przed dziesięciu laty Helgoland miał cztery mile kwadratowe powierzchni, obecnie ma już trzy zaledwie.

Jeżeli więc dzieło zniszczenia z taką samą szybkością postępować będzie dalej, to za lat 30 wyspa Helgoland zniknie zupełnie.

Nowa potrawa. Japończycy wiele przyjęli od europejczyków, ale nie chcą być dłużnym odpłacając się czem mogą. Oto niedawno pewien baron japoński pokazywał w Londynie w istniejącym tam japońskim klubie, w jaki sposób można zużytkować zwyczajną paproć na jarzynę.

Wszyscy, którzy jedli tę nową potrawę, ugotowaną według wskazówek barona, chwali ją i twierdzą, że jest smaczna.

Może ów japończyk z czasem poda w piśmie do publicznej wiadomości sposób przygotowania tej niezwykłej jarzyny, a wówczas i my będziemy mogli z niego skorzystać, bo paproci przecież u nas nie brakuje.



Skrzynka do listów.

Kto tak milutko dziękuje za odpowiedź Jaskółce, że aż ma ochotę uściskać jej dziobek? Wiem już, wiem to **Sarenka** kochana przybiegła z za siedmiu rzek, z za siedmiu borów, żeby ucieszyć liścikiem starego ptaka, który bardzo tę Sarenkę pragnie poznać, bo słyszał wiele o grzecznej dziewczynce i jej braciszku. Napisz Sarenko, czy dużo masz lalek, a także, jaka książka najbardziej ci się podobała, pisząc zaś, pamiętaj położyć datę na liście, żeby Jaskółka wiedziała, czy długo ten liścik wędrował do jej gniazda.

Zajrzał **Obłoczek** do mojego okna i ucieszyłam się mu bardzo, bo wyglądał różowo, wesoło, kiedy tu w Warszawie same czarne, deszczowe chmury przeciągają przed oknami. Ale chmury widać nie straszne, bo nie zlekli się ich dzicy ludzie, jeżdżą po mieście dorożką, a wieczorem pokazują w cyrku, jak to oni w swojej ojczyźnie tańczą a nawet, jak polują i wojują. Może

Obłoczek przyjedzie z Sarenką na to przedstawienie, czerwony krawat, o którym wiem, że go Obłoczek nosi, pewnie się dzikim spodoba.

Chętnie usłużę ci **Sroczo**, pomagając w wyborze książek, bo lud nasz oświecać, to praca godna serc szlachetnych, a takim dopomódz miłem jest zadaniem. Najpiękniejsze Żywyoty Świętych napisał ks. Piotr Skarga, natchniony prorok narodu, radziłabym ci posiąść ten klejnot naszej literatury; nieoprawne kosztują 3 ruble. Przystępne ceną, bo kosztują tylko 2 ruble (dwa tomy), są żywyoty ks. Prokopa. Redakcja pošle ci katalog książek ludowych dla łatwiejszego zorientowania się w wyborze; radzę jeszcze kupić: «Bóg się rodzi», «Święty Piotr w Rzymie», «Stara baśń» i «Historia Polski w 24 obrazkach». Wszystkie te książki dostaniesz w księgarni Gebethnera, mogłaby ci je, Sroczo, pošłać redakcja za zaliczeniem.

Tę samą co Sroczo daję radę i **Nałęczowi**. Książki, o których piszesz, księgarnia sprowadzi na żądanie redakcji, ale ceny ich z góry oznaczyć nie może. Donieś proszę, czy egzamin powiódł ci się dobrze i nie zwlekaj z obiecany listem.

Moi korespondenci wykupią wszystkie książki w księgarniach, bo oto **Gałązka Bluszcza** żąda także wskazówek co do czytania właściwych dla siebie dzieł. Wtem tylko leży trudność, że nie wiem, jakie znasz już książki, i co wolisz: historyczne czy obyczajowe powieści, a może przekładasz nad nie podróże. Musisz dać mi pod tym względem wskazówki, tymczasem dziękuję ci bardzo za milutki portrecik twojej kochanej osóбки i za zaufanie, z jakim prosisz o wskazanie błędów. Nie znalazłam ich wcale, kaligrafia śliczna idzie w parze z ortografią, więc jak nie pochwalić kochanej Gałązki.

Odezwałaś się **Piosenko**, a tak dawno czekałam na twój liścik i nie zawiódł mnie, bo ślicznie opisujesz wrażenia wakacji. Ja także znam i kocham Kraków, znam Zakopane i góry, o których Piosenka pisze, że „u podnóża rozpostarły się po nich lasy, a wyżej pajęcza siatka kosodrzewiny“. Tylko dlaczego wątpisz w trwałość zmian ku lepszemu, jakimi cieszysz się z nami. Trzeba ufać niezłomnie w pomyślniejsze od dzisiaj jutro, a że powołaniem piosenki budzić nadzieję nie obdzierać ze złudzeń. Więc bądź tą pieśnią, która krzepi serca.

I **Paskudny Dzieciak** pieśnią do mnie przemówił, przysłał też także śliczną białą różę. Wierszyk Dzieciaka bardzo mi się podobał, szkoda tylko, że, jak ze wszystkich twoich liścików, wieje z niego zniechęcenie i lubowanie się w bólu. Piszesz:

«W tym chaosie mgieł i słońca, co się życiem mieni,
Wiele snuje się dusz tęsknych podobnych do cieni,
Wicher życia miota niemi, one chylą głowy
I tak giną w jego wirze, jak listek brzozowy».

Żałuję, że całego wierszyka przytoczyć nie mogę, ale i to wystarczy, żeby dać poznać zdolności a także pesymizm Dzieciaka. Dusze ludzkie nie «smucić się» powinny, tylko działać, pracować, kochać. Ty, Dzieciaku, może aż za dużo na swoje siły pracujesz, ale i praca nie da ci szczęścia, jeśli z umysłu szukać będziesz cierpienia, drażnić je w sobie, delektować się niem. Trzeba siebie zgubić, chociażby na jakiś czas, żeby odnaleźć potem swoje ja krzepiejsze i zdrowsze. Kocham cię Dzieciaku i bardzo proszę, pisuj często byle wyraźnie.

Chciałbys **Żołnierzu** być kiedyś generałem, podobna mi się twoje życzenie, ale może nim dorośniesz, ludzie w zgodzie i miłości żyć zaczną. Trzeba ci bowiem

wiedzieć, że jest w Anglii generał, który nigdy broni nie nosił, ani mustry nie umiał. Nazywa się Bootha a jego armia, to armia zbawienia, bo generał Bootha pracuje nad zbawieniem setek tysięcy ubogich. Wszyscy oni pomagają jedni drugim, gdyż wszyscy wyznają wzajemną miłość i współczucie. Generał Bootha, jak prawdziwy wódz, czuwa nad całą armią, która założoną została 1878 r., a dziś obejmuje nie tylko Anglię, ale przenosi swą działalność do Ameryki i Australii. Hłasem generała jest rozbudzić wśród najędźniejszych poczucie własnej siły, wiarę w Opatrzność i w możność dla każdego wytworzenia sobie bytu własną energią i uczciwą pracą. Zapoczątkuj taką armię *Generale*.

Jakże się przeraziłam wiadomością, że moja droga Przadka złotych nie spadła z konia i wywihnęła rękę, a mogła łatwo jeszcze cięższemu uleść wypadkowi, gdyż koń brata omal nie roztrzaskał jej głowy. Moje dobre piskłę z lewą ręką na temblaku przesyła mi tę okropną wiadomość, dobrze, że choć druga, prawa jest zdrową i napisze znów do Jaskółki donosząc czy rekonwalescencya postępuje prawidłowo. Nikt lepiej ode mnie nie rozumie twojej tęsknoty za wsią, Przadko, bo i ja kocham wieś całą duszą, ale teraz przy zmienionych warunkach nauka ma tyle powabu, że byleś odzyskała zdrowie i mogła korzystać z lekcji oddasz się im, jestem pewna, z zapałem, a to ukoji twój żal. Kiedy *Zdzis* wróci do miasta, pamiętaj pisać i o nim, bo bardzo mi drogą jest ta sierotka.

Z wielką pociechą i szczerem zainteresowaniem przeczytałem list twój *Mgławico*. Rozumiem doskonale wrażenie, jakiego doznałaś, porównując oświatę naszego ludu z ludem na Szląsku. Ale i u nas nastały lepsze czasy, dawajmy przykład dobrej obywatelskiej pracy, a da Bóg przestaniemy się wstydić. Roboty twoje konkursowe redakcja odebrała.

Nie tylko z dobrem słowem, ale z serdecznym uściśnieniem zwracam się do was kochane *Miriam*, chociaż list wasz wprowił mnie w wielki kłopot. Mam dwie bardzo miłe korespondentki, które piszą pod tym samym pseudonimem, jedna z Żytomierza, druga z Warszawy, nawet pismo mają podobne, obie dawno nie przysłały liściku, a dzisiejszy jest bez daty i miejsca wysłania. Jakże więc odgadnąć, która pierwsza pomyślała o Jaskółce! Jeśli *Miriam* z Warszawy, to dlaczego nie donosi, czy zdrowi jej szanowny ojciec, o którego była bardzo niespokojna, jeśli *Miriam* z Żytomierza, czemu nie pisze o licznych swym rodzeństwie, ani o dobrej babci?

Stoję wobec zagadki i dlatego nie odpowiadam na list, czekając, żeby obie moje korespondentki *Miriamy* pomogły w kłopotcie.

Jaskółce.

Od Redakcyi.

Do N-ru dzisiejszego dołączamy dodatek za październik, zawierający skończoną całość „Obowiązki młodych dziewcząt“, odczyty Zofii Bukowieckiej (arkuszy 8).

— **Doroczne premjum**, bardzo zajmujące i wesołe pamiętniki uczni szkół angielskich, będzie rozesłane w grudniu r. b.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośzeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.

зводено Цензурою. Варшава, 11 Октября 1905 г.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA NOWE PODRĘCZNIKI SZKOLNE:

Bogucka C. i Niewiadomska C. Pierwsza książka do czytania dla dzieci od lat 7-miu (zaraz po elementarzu) karton. —40

— **Druga książka do czytania.** Z ćwiczeniami gramatycznymi i dla dzieci od lat 8—10-ciu. Wyd. 2-gie, przejrane i poprawione, karton. —80

Bogucka C., Niewiadomska C. i Warnkówna J. Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania. Stopień I—15 k. Stopień II—20

Chrzęszczewska J. i Warnkówna J. Rok czytania. Wypisy na klasę pierwszą. Wyd. 2-gie, przejrane i poprawione. W oprawie 1.—

Dmochowski F. S. Krótki zbiór historii Polskiej podług najnowszych źródeł histor. Wyd. nowe, poprawione, rozwinięte i uzupełnione spisem chronologicznym 40 kop., karton. —50

Drzewiecki Konrad. Początki gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami z przykładami. Wyd. 2-gie, przejrane i poprawione. Karton —60

Galle Henryk. Wypisy polskie z dziejów literatury do użytku szkolnego. Rb. 1.20, w oprawie 1.50

Heilpern M. Zasady botaniki. Podług 23 wydania dzieła «Księga Przyrody» d-ra Fryderyka Schoedlera, zmienionego i zredagowanego przez prof. d-ra O. W. Thome'go. Z 281 rys. w tekście 1.—

W opr. płóc. 1.20

Koneczny Feliks Dr. Dzieje Narodu Polskiego, opowiedziane dla młodzieży. Karton. kop. 80, w oprawie płóc. 1.—

Korzon Tadeusz. Historia starożytna sposobem elementarnym wyłożona. Ze 113 rysunkami w tekście, z dołączeniem 3 map, planu i tablicy synchronistycznej. Wyd. 4-te poprawne rb. 1.50 w opr. 1.70

Niewiadomska C. Pierwszy rok gramatyki. —15

Nussbaum J. Dr. Podręcznik zoologii do użytku w klasach niższych szkół średnich, oraz do nauczania prywatnego dla młodzieży od lat 10—14. Z 272 rysunkami w tekście rb. 1.80, w opr. płóc. 2.—

Katalogi szczegółowe książek *pedagogicznych* na żądanie bezpłatnie.

Darmo wysyłamy na żądanie
Ilustrowany Cennik
Zabawek, Zajęć pożytecznych
i Gier towarzyskich oraz pouczających.
Wiśniakowski i Sp.
Warszawa. Szpitalna № 8.

TREŚĆ:

Ci co dla nas piszą (Zofia Bukowiecka) przez Ig. Balińskiego.—Pozegnanie jesieni (wiersz) przez E. Lejową.—Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską.—Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego przez M. Dynowską.—Z konkursu rysunkowego «Wieczorów Rodzinnych» (ryc.)—Król przestrzni przez J. Verne'a (dok. — z ryc.). — We wnętrzu komina (z ryc.) przez z ang. przez M. G.—Skrzynka do listów.—**Dodatek:** Październik (wiersz) przez Janinę Chlewicką.—W szkolnym pokoju, przez Irenę Mrozowicką.—Napał na zamek.—Dzielny Jędrus, przez J. Piasecką.—Zadania i łamigłówki.